

# We mnie jest mało celebryty

**Wychowałem się w familoku z czerwonej cegły w świętochłowickich Lipinach. W domu się nie przelewało, na placu nieraz musiołżech się ciulać z chopcami.**

**Takie życie mnie ukształtowało, jestem dumny z tego, skąd pochodzę, i pamiętam wszystkie lekcje z tego czasu – mówi Leszek Stanek, gwiazda najgorętszego w jesiennej ramówce TVN programu „Azja Express”.**

ROZMOWA Z  
**LESZKIEM STANKIEM**

**MICHALINA BEDNAREK:** Słyszałam, że fani do ciebie piszą na Facebooku czy Instagramie, a ty im odpisujesz. To mało popularne zachowanie wśród celebrytów. Dobić się do swojego idola to zwykle trudna sprawa.

**LESZEK STANEK:** Zaczniemy od tego, że nie czuję się celebrytą. Ludzie najczęściej myślą, że w takich sytuacjach piszą w eter, a ja ich zaskakuję. Sam czytam wszystkie wiadomości i w miarę możliwości odpisuję, ale tylko na te, które mają wartość merytoryczną. Urodziłem się w Świętochłowicach, w Chropaczowie, a wychowywałem w Lipinach. W domu się nie przelewało, mama wychowywała nas sama, a mam jeszcze trójkę rodzeństwa. Miło jednak wspominam typowo śląski familok z czerwonej cegły i piec kaflowy w naszej kamienicy. Na plac laziłem codziennie i - jak to bywa w Lipinach - nieraz musiołżech się ciulać z chopcami. Potem trafiłem do technikum samochodowego w Bytomiu, tam też łatwo nie było. Patrząc jednak z perspektywy czasu, niczego nie żałuję. Takie życie mnie ukształtowało. Jestem dumny z tego, skąd pochodzę, i pamiętam wszystkie lekcje z tego czasu. Pewnie dlatego mało we mnie celebryty.

**Wychowywałeś się w Świętochłowicach, ale często mówisz, że to Bytom jest tym ukochanym miastem.**

- Do Bytomia zacząłem dojeżdżać jako nastolatek na zajęcia wokalnokantorskie, które odbywały się w Domu Kultury nr 1. Pierwsze próby na scenie, pierwsza trema przed wystawieniem sztuki, pierwsze napisane wiersze i piosenki. Pokazano mi tam zupełnie inny świat i rzecz jasna byłem chyba jedynym chłopakiem z mojej dzielnicy, który wybrał taką drogę. Koledzy z technikum często drwili sobie ze mnie. Kiedy oni szli pograć w piłkę, ja

pedziłem na zajęcia z dykcji i śpiewałem piosenki Michała Bajora. Szkolne łobuzy kontra ja. Miałem wtedy długą grzywkę, nosiłem naciągnięte swetry i buty na koturnie. To był taki moment, kiedy człowiek nie jest już dzieckiem, ale nie jest też jeszcze dorosły, a mimo to musi dokonać wyboru. Ja dokonałem takiego i dawałem sobie z tym świetnie radę.

**Jednym słowem, koledzy dawali ci popalić, a ty im świadomie dawałeś powody. Opuścili w końcu?**

- Opuścili, i nawet zaczęli szanować. Wystarczyło się raz czy dwa postawić. Zresztą potem pojawiłem się w „Idolu” i nawet przeszedłem do półfinałów. Wszyscy mnie zobaczyli w telewizji i zaczął się szal. Chodziłem po dzielnicach i wszyscy byli ze mnie dumni. Wiem, jak to brzmi, ale taka prawda. Wszystko się układało i nagle okazało się, że mama ma raka. Szybko zmarła. Nie miałem wtedy jeszcze skończonych 18 lat. Najgorszy dzień w moim życiu pozostawił traumę do dziś. Może dlatego nie jeżdżę na Śląsk zbyt często, nie chodzę na cmentarze. Musiałem sobie wytłumaczyć, że ciało to tylko powłoka. Ludzie żyją do momentu, kiedy o nich myślimy i mówimy, więc moja mama żyje do dziś. Mimo że zostaliśmy wtedy sami - ja, moje dwie starsze siostry i młodszy brat - nie porzuciłem szkoły. Skończyłem technikum i zdałem maturę.

**Jakim cudem po technikum samochodowym znalazłeś się w szkole wokalnobaletowej?**

- Studium Wokalnobaletowe w Gliwicach było jedyną szkołą, do której złożyłem papiery. Pomyślałem, że ta albo żadna, chociaż z tańcem to wtedy jeszcze nie miałem nic wspólnego. W czasie przyjęć do szkoły dzwoniłem do sekretariatu prawie codziennie. Sekretarka już mnie poznawała po głosie i tylko wzdychała: „Nie, Stanek, nie ma miejsca”. Dla mnie nie było, bo byłem wtedy na liście rezerwowych. Ostatecznie jednak ktoś tam zrezygnował, ktoś złamał nogę i dostałem szansę, a po kilku miesiącach nawet pierwszy angaż w Gliwickim Teatrze Muzycznym. Wystarczyło pójść na „dymka”. Moja szkoła sąsiadowała z teatrem i dokładnie wiedziałem, gdzie artyści między próbami palili papierosy. Przychodził tam też kierownik chóru i kierownik baletu. Podszedłem do niego i - niewiele myśląc - wyrecytowałem „Dzień dobry, nazywam się Leszek Stanek, nie jeszcze raczej nie potrafię, ale mogę trzymać rekwizyt na scenie, zapelnąć tło albo nawet być krzakami”.

**I to go przekonało?**

- Ludzi zawsze przekonywała taka moja pozytywna bezczelność, a zarazem umiejętność przyznania się do własnych ułomności. Choć nie powiem - kiedy oznajmiono mi, że dostałem angaż, prawie zemdląłem. Pamiętam dokładnie swoją pierwszą rolę. Wręczono mi strój gajowego z Tyrolu, w którym do tej pory grał o połowę ode mnie niższy aktor. Na siłę się do niego wpełchałem i twardo obstawałem przy swoim, że pasuje. Moim jedynym zadaniem



Leszek Stanek

niem było wyjście na scenę z bukłakiem i podanie go aktorowi, który śpiewał: „Daj mi pić, daj mi pić, daj mi pić”. I stała się tragedia, bo tego bukłaka zapomniałem ze sobą na scenę. No więc on śpiewał: „Daj mi pić”, a gdy zauważył, że mam prawie lzy w oczach, zaś bukłaku ani śladu, zaśpiewał: „Albo nie dawaj”. Na dodatek wkręcono mnie, że muszę zrobić sobie mocny sceniczny makijaż. Więc można się domyślić, że jako jedyny byłem tak zmalowany na scenie, ale nie zraziło mnie to do pracy w teatrze. Jako uczeń nie zarabiałem zbyt wiele. Musiałem opłacić stancję, a potem liczyłem, ile konserw kupię za resztę wypłaty.

**A kiedy rozpoczęła się twoja historia ze Śląskim Teatrem Tańca?**

- Jacka Łumińskiego [założyciel ŚTT - przyp. aut.] poznałem, jeszcze ucząc się w gliwickim studium. Ludzie jeździli do domów na weekendy, święta, a ja zostawałem i z balkonu obserwowałem próby Jacka. W przerwach cho-

dziłem do bufetu teatralnego i tam poznałem swojego mistrza. Potem dostałem zaproszenie na jego warsztaty. Traktowałem go wówczas jak ojca.

**Byłeś już wtedy na tyle sprawnym tancerzem, żeby poradzić sobie z wymaganiami Łumińskiego?**

- A gdzie tam, nie radziłem sobie totalnie. Lewa noga za prawie ramię, zespół Jacka w prawo, a ja w lewo. Z niczym nie nadążałem, ale się uparłem. Noce w sali baletowej przyniosły w końcu efekt. Po roku morderczych treningów Jacek zaproponował mi rolę w swoim spektaklu. Pamiętam, że wymagała obecności na specjalnej konstrukcji zbudowanej na scenie. Wdrażałem się na nią z duszą na ramieniu. Nie przyznałem się do strachu, ale kiedy próba się kończyła, ja zostawałem i oswajałem się z konstrukcją. Nie było zmiłuj się. Zresztą po każdym spektaklu mówiło się żartobliwie, że Jacek Łumiński po raz kolejny chciał zabić swoich tancerzy. W sumie było

w tym trochę prawdy, skoro na 40-minutowy spektakl tancerzowi przypadało zaledwie półtorej minuty przerwy na złapanie oddechu.

**W ramach ŚTT miałeś własny projekt - Studio Teatru Fizycznego. Co więcej, pierwszy spektakl w twojej reżyserii odniósł sukces. Jak ci się udało załatwić sukienki Macieja Zienia?**

- Spektakl „Villa Evra” był fenomenem. Przygotowując go, nie mieliśmy prawie funduszy. Zastosowałem więc zasadę, zgodnie z którą wszystkich przekonywałem, jak wiele już mam, jaki rozmach będzie miało całe wydarzenie i kto się w nie angażuje. Zanim poprosiłem Macieja Zienia o sukienki, innym już mówiłem, że projektant tworzy dla mnie kostiumy. To sprawiało, że kolejne osoby się dołączały. Ostatecznie spektakl odbył się w pięknej poniemieckiej willi w Bytomiu. Zwiewne sukienki projektu Zienia, francuskie melodie, taniec po płatkach róż i milejący mężczyzna z misą mięsi-



stych czereśni. Recenzje były świetne, mam do dziś wycinek z gazety „Der Spiegel”. Okrzyknięto mnie tam następcą Piny Bausch.

**Dlaczego więc męskie wydanie Piny Bausch nie święci do dziś kolejnych triumfów na deskach teatru?**

- Kontuzja biodra oznaczała koniec intensywnego wysiłku, czyli też koniec z teatrem. Popadłem w kilkumiesięczną depresję. Zrezygnowałem ze wszystkiego, zamknąłem się w domu. A potem na stałe wyjechałem do Warszawy z myślą, że tam ułożę sobie życie na nowo. Oczywiście musiałem zaczynać od zera, więc jedynym sposobem na utrzymanie się była praca kelnera. Z czasem próbowałem jeszcze robić spektakle, trochę tańczyłem, ale nie tak ekstremalnie jak dotychczas. I kiedy tak się miotalem, dostałem rolę w serialu „Tancerze” emitowanym w TVP2. Tak zacząłem przygodę z show-biznesem.

**I wtedy nauczyłeś się chodzić na szpilkach...**

- Tak, mój bohater dorabiał, występując w nocnych klubach jako drag queen. Do tej roli nauczyłem się chodzić na szpilkach, ale ktoś mi błędnie poradził i stąpałem od palców, nie od pięty. Ból niesamowity i na dodatek musiałem tak tańczyć. Zresztą cała moja postać była bardzo charakterystyczna i przyczepiła się do mnie niekorzystna latka - chłopaka, który potrafi zagrać jedynie bawidamka, tancerza czy striptizera. Mimo że jestem aktorem sceny muzycznej, nikt nie zwracał na to uwagi. Chodziłem na castingi, grywałem w różnych produkcjach telewizyjnych i teatralnych, ale nigdzie nie mogłem zahaczyć się na stałe. Chciałem działać, ale nie mogłem. Byłem zmęczony znajomymi, którzy klepali mnie po plecach. „Sta-

nek, przecież ty jesteś taki zajebisty, poradzisz sobie”, ale nic za tym dalej nie szło. Czulem się jak pajac. Zostałem wszystko z dnia na dzień i postanowiłem wyjechać na jakiś czas do Australii, aby na nowo odnaleźć siebie i swoje pasje.

**Ale na szczęście wróciłeś i znów dałeś się pokochać widzom, bo wybrałeś sobie najbrzydszego psa.**

- Program „Przygarnij mnie” emitowany w TVP polegał na tym, że każdy z zaproszonych uczestników wybierał sobie psa ze schroniska. Podczas wizyty zobaczyłem małego czarnego wariata, który zaczął skamleć, jak tylko podszedłem do jego boksu. Wtedy nie miałem już wyjścia. Nazwałem go Vader, bo psiak urodził się bez górnej wargi. No przyznam, że na jego widok trochę spanikowałem, pomyślałem sobie: „Matko! Co za brzydki pies, przecież nigdy go nikt nie zabierze ze schroniska!”. Więc sam go wzięłem i do dziś mieszkamy razem.

**Wróciłeś do show-biznesu, znów zyskałeś sympatię i rozpoznawalność, ale mimo wszystko wyjechałeś ponownie do Australii.**

- Nie chciałem znów podejmować ryzykownych decyzji związanych z pracą w show-biznesie, a w Australii zacząłem wtedy pracę nad moją pierwszą płytą. Jednak po roku pojawiła się propozycja występu z Izą Miko w programie „Azja Express” i skusiłem się. Izę znam od prawie 10 lat. Po raz pierwszy spotkaliśmy się na prawie nagiej sesji zdjęciowej, promującej kolekcję jej ekologicznych świeczek. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi i byłem pewien, że uczestnictwo w programie tego nie zmieni. Wiedzieliśmy, że to idealna okazja, aby poznać siebie jeszcze bliżej. Udało się. Ta podróż wzmocniła naszą relację.

**Mówi się, że tylko podczas włączonych kamer udawaliście podróżników z jednym dolarem w kieszeni, a poza kamerami sypialiście w ekskluzywnych hotelach i korzystaliście ze spa. Ile w tym prawdy?**

- Nic z tego prawdą nie jest. Tylko kiedy przekraczaliśmy granice, faktycznie korzystaliśmy z hoteli. Poza tym warunki przez cały czas były ekstremalne. Ludzie byli zmęczeni fizycznie i psychicznie, przez co też puszczały nam czasem nerwy. Pamiętam sytuację, kiedy musieliśmy szybko prze-



**Nie jest prawdą, że w „Azja Express” niańczyłem Izę Miko. Po prostu od początku ustaliliśmy, że to ja będę od spraw fizycznych, a Iza będzie organizatorką podróży**

pakować plecaki i wyrzuciłem Izie złote klapki. Ona się rozplakała, ale nie dlatego, że miała stracić te swoje klapki. Po prostu dwa dni wcześniej okazało się, że wszystkie nasze bagaże zagubiły się w dziwnych okolicznościach. Radek Majdan musiał mi ciuchy pożyczać. Do tego ciągle stres i pośpiech. Nerwy puszczały każdemu z nas. Potem już mieliśmy tylko jedną zasadę - grać fair. I nie jest prawdą, że niańczyłem Izę. Po prostu od początku ustaliliśmy, że to ja będę od spraw fizycznych, a Iza będzie organizatorką podróży.

**Niektórzy uczestnicy programu sugerowali, że został on tak zmontowany, żeby pokazać was wszystkich w jak najgorszym świetle. Z tym też się nie zgodzisz?**

- W niczym interesie nie było pokazywanie nas w złym świetle. Było jasne, że z 10 godzin nagrania trzeba będzie wybrać tylko nieliczne fragmenty, które wejdą do odcinka. Wszystkie jednak rzeczy, które zostały pokazane, miały przecież miejsce.

**Podsumowując „Azję Express” - chcąc, czy nie chcąc, zostałeś ogłoszony najsympatyczniejszym uczestnikiem wyprawy. Zaskoczony?**

- I to jak. A tak poważniej - zaskoczony jestem o tyle, że byłem po prostu sobą. A tu nagle mam 60 tys. fanów na Instagramie i nie mogę chodzić weekendami na imprezy w Warszawie, bo jak ludzie trochę wypiją, to od razu chcą się przytulać. Musiałbym całą noc spędzić na przytulaniu obcych osób. Teraz już nawet wprost pytam: „Przepraszam, czy my się znamy?”, zwyczajnie sam już nie jestem pewien. Mimo to nie obrażam się, tylko cieszę z tego, co daje mi życie i z tego, kim jestem. ●

ROZMAWIAŁA MICHALINA BEDNAREK

## Leszek Stanek

Urodził się w 1981 roku w Świętochłowicach. Jest absolwentem Studium Wokalno-Baletowego w Gliwicach. Debiutował na scenie Gliwickiego Teatru Muzycznego w 2001 roku. Od 2003 roku był związany ze Śląskim Teatrem Tańca (ŚTT). W ramach pracy w ŚTT stworzył młodzieżowy projekt edukacyjny o nazwie „Studio Teatru Fizycznego”. W 2005 roku odbył się pierwszy spektakl studia pt. Villa Evra, który został pokazany w ramach XIII Międzynarodowej Konferencji Tańca Współczesnego.

Jako tancerz i choreograf Stanek pracował w Polsce, Niemczech, Chinach, Indiach, Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych.

W 2009 roku zagrał Kubę Krzysztonia, jednego z głównych bohaterów serialu „Tancerze”. W 2012 roku został koproducentem filmu fabularnego pt. „W sypialni”.

W 2015 roku w Australian Institute of Music w Sydney rozpoczął pracę nad debiutancką płytą, do której sam pisze teksty oraz komponuje muzykę. W tym samym roku wziął udział w programie „Przygarnij mnie”, promującym adopcję psów, a w 2016 w programie „Azja Express” w stacji TVN. Jego partnerką była tam aktorka Izabella Miko.